

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W OKNIE

Józef Kraszewski

W oknie

«Public Domain»

Kraszewski J.

W oknie / J. Kraszewski — «Public Domain»,

W pewnym mieście naprzeciwko jednej z kamienic znajduje się opustoszały plac, z którego okoliczni mieszkańcy urządzili sobie śmietnisko, kopano tam doły, wszędzie rośło zielsko. Plac obserwował jeden z mieszkańców kamienicy. Pewnego dnia rozpoczęła się tam budowa, stawiano nową kamienicę, ale niezbyt solidną, o cienkich murach i wąłym dachu. Najpierw powstał tam szynk, lokatorów żadnych jeszcze nie było. Dopiero po wielu miesiącach wprowadziła się rodzina — starsi, schorowani rodzice z młodą córką. Nasz obserwator zafascynowany nowymi sąsiadami obserwował ich nieustannie — widział dziewczynę pracującą w pocie czoła przy krosnach, schorowanego ojca na wózku i matkę szyjącą pończochy. Po miesiącach do drzwi tego mieszkania zapukała Śmierć, zabierając najpierw ojca, a niedługo potem matkę. Co stało się z córką? O tym opowie dalej nasz obserwator.

Józef Ignacy Kraszewski

W oknie

Naprzeciw mojego domku w... miałem długo plac pusty, zagrodzony deskami i dotąd nie zabudowany, chociaż dokoła już stały dosyć pokaźne kamienice.

Ale pośpiesznie, jak grzyby, powyrastały one z ziemi w tej części miasta, odległej od głównego ogniska, która życia jeszcze nie miała i spodziewała się je pozyskać. Zbyt świetne nadzieje zawiodły spekulantów, i o ów nieszczęsny plac nikt się już nie kusił.

Widok z okien moich wcale miłym nie był. Zaniedbany grunt służył tymczasowo właścicielowi i sąsiadom za rodzaj śmietniska, na które zwożono wszystko, co gdzieindziej zawadzało. Oprócz tego, ponieważ plac był piaszczysty, kopano doły i dobywano piasek w potrzebie, który furami stąd zabierano.

Nie można sobie wystawić nic smutniejszego nad ten opuszczony, zapomniany kawałek ziemi.

Powierzchnia jego nierówna, poryta, porośła w lecie zieliskiem nędznym, brudna – w jednym końcu garbiła się górami śmieci, w drugim zapadała w doły po deszczach, pełne gnijącego błota. Boki tych śmietnisk świeciły wszelkimi resztkami i łupinami żywota, jakie tylko sobie wyobrazić można: skorupami garnków, szczątkami butelek, obłamkami talerzy, zrzynkami gnijących papierów, poszarpanem obuwiem, kośćmi żółkłemi, popiołem i węglami.

Zsiadało się to w jedną masę dla przyszłych badaczów i archeologów, a drugiego roku już z nasion, które wiatry przyniosły, coś kielkowało i zieleniało. Uważałem przez lat kilka, że zawsze prawie jedne i te same rośliny rozpoczynały wegetację, a po nich przychodziły i następowały szeregiem inne – w porządku niezmiennym.

W drugim końcu placu rosła jedna jedyna, stara, obłamana akacja, mizerna, biedna, u góry tylko zieleniejąca w lecie, rozplątana na pół od wiatru.

Jak i czem ona tam żyła – jest jej tajemnicą. Popod nędznym ogrodzeniem gdzieniegdzie rosły jakieś krzewy, których rozpoznać nie umiałem. Plac miał też swych lokatorów, do których należały krety, myszy i szczury – nieliczne ptastwo.

Kiedy niekiedy otrzymywał ktoś pozwolenie złożenia tu desek, tarcic, opiółków, cegły; wówczas otwierały się wrota – plac zmieniał swą jednostajną fizyognomię nudną i smutną.

Unikałem, o ile mogłem, wyglądanego przez okno w tę stronę, i długi czas jakoś plac pusty wcale mojej nie zwrócił uwagi. Jednego dnia, przypadkiem rzuciwszy okiem, dostrzegłem ogromne stopy cegły, ustawione od ulicy i, co mnie najmocniej zdziwiło, kilku ludzi, którzy kopali.

Kupy żółtej ziemi wznosiły się już na prawo i na lewo. Domyśliłem się łatwo, iż naostatek ktoś na osieroconym tak długo placu budować się ośmielił. Było to razem pociechą dla mnie i mogło trwożyć, bo sąsiedztwo domu stawiało zagadkę, co w tym i z tego domu być miało.

Nie każda kamienica jest miłą pod bokiem.

Nie dziw, że potem z wielką ciekawością śledziłem cały postęp w budowaniu nowego domu.

Z fundamentów nic wniesić nie umiałem; bardzo szybko i niezbyt, jak mi się zdawało, starannie uwinął się z nimi budowniczy; dom, jak grzyb, do góry się podnosić zaczął. Niewielki, miał tylko pięć okien od frontu, a formy jego architektoniczne dosyć zwyczajne domyślać się kazały, że jak najoszczędniej murowano – prostą kamieniczkę, dla dochodu.

Pierwsze belki, które przywieziono, z drzewa nie bardzo suchego, cienkie, jeszcze mocniej mnie utwierdziły w przekonaniu, że dom ozdoby naszej części miasta nie przyczyni.

Mur z cegieł był cienki, cegła rozsypująca się i nieosobliwa. Starania nie widać było o nic, oprócz, aby to stało jak najtaniej, a może jak najprędzej.

Przed jesienią też dom był pod dachem, z takich cieniuchnych krokiewek skleconym, że mi się wierzyć nie chciało, iż dachówkę utrzymać potrafią.

Gdy do wykończenia przyszło – przekonałem się, że to będzie mieszkalne pudełko bez żadnych ozdób i najmniejszego starania, aby oko mile na niem spoczęło. Szła za to budowa niewypowiedzianie szybko, a nim zaczęto tynkować, już na płocie wisiała karta z napisem – »Do najęcia«.

Zima się w tym roku spóźniła tak, że domostwo przed mrozami stało już z zapadniętymi oknami, gotowe... na przyjęcie tych, co się w niem mieszkać odważą.

Jednego ranka zjawiała się na dole tablica, niewytwornie malowana, zwiastująca: „**Wyszynk rozmaitych trónkuw, wudek, pywa i t. d.**” Niewiele to było obiecującym, a sąsiedztwo takiego szynku bywa prawdziwem utrapieniem. Nie chciało mi się już patrzeć w tę stronę.

Wiedziałem tylko, iż w ciągu zimy, oprócz szynku na dole, nikt się do domu nie wprowadził.

Pośpiesznie nalepione tynki, od pierwszych mrozów popękane, stały się obrzydliwie plamiste; dom, choć nowy, powierzchowność miał odrażającą.

Deszcz, śnieg i pluchy zmywały napróżno wywieszane karty, oznajmujące, iż wszystko było w porządku.

Nadeszła wiosna, właściciel trochę ściany pomazał na nowo, zabrano się do uporządkowania podwórka i ogrodu, placyk przybrał nową fizygnomię – nieładną, ale znośną.

Kwiecień się już rozpoczął, gdy jednego dnia rano spostrzegłem znanego mi z migdałowego surduta wyszarzanego właściciela nowej kamieniczki, który prowadził z sobą kobietę średniego wzrostu, otuloną wielką, wyblakłą i wynoszoną chustką.

Gdy się zwróciła, mogłem tylko rozpoznać bladą i młodą twarzyczkę. Ubranie było ubogie, ale chędogie.

Trwożliwie, pośpiesznie dziewczyna z właścicielem weszła do wnętrza, i w chwilę potem ujrzałem gospodarza otwierającego okna drugiego piętra. Pokazywał i zalecał części mieszkania, tam się znajdującego.

Ogłędziny domu trwały dosyć długo, poczem kobieta sama już wybiegła szybko i, rzuciwszy okiem na dom raz jeszcze, bardzo przyspieszonym krokiem puściła się ulicą i z oczów mi znikła.

Mogłem się jej teraz lepiej przypatrzeć. Twarzyczkę miała dosyć przystojną, lecz troski życia wryły się na niej tak straszliwie, tak dobitnie, iż los nieszczęśliwy odrazu z niej wyczytać było można. Szła jakby przestraszona i nieprzytomna – zatopiona w myślach.

Ubiór czysty był niezmiernie ubogi, począwszy od obuwia do okrycia głowy. Nie widać w nim było najmniejszej kokieteryi, która nawet przy ubóstwie objawiać się umie; pomimo to wyglądała przyzwoicie, i nie było zaniedbania rozpaczliwego w ubraniu.

Zagadką było dla mnie, czy mieszkanie zostało najęte, ale po południu rozwiązała się ona, bo stróż zaczął myć okna, zmiatać i oczywiście przygotowywać pół pięterka na przyjęcie lokatorów.

Przez cały dzień następny trwały te przygotowania; trzeciego rano zajechał wózek biedny i ciągnięty przez dwóch ludzi, starego w łachmanach i chłopię bosonogie. Pełen był sprzętów, na które rzut oka starczył, aby poznać, że należały do ludzi nie tylko ubogich, ale najuboższych.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.